Rok 1936. 22 marca Nr. 12

DZWONECZEK

POD REDAKCJĄ ELI OLESKIEJ

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO"

Z legend o Najświętszej Rodzinie.

Gwiazdka Józefa.

Nachylał się już ku wieczorowi skwarny dzień letni. Orzeźwiające tchnienie szło z powiewami od zachodu, dając odpoczynek po trudzie całodziennym.

W ubogiem mieszkaniu cieśli nie rozpalano dziś ogniska dla uwarzenia wieczerzy; z ostatniego podoju mleko posłuży ku pokrzepieniu, jeno nie wróciły jeszcze z pastwiska owce sąsiada.

Marja kończyła przed domem pranie koszulinek dziecięcych, gdy Józef w izbie, pochylony nad białemi deskami, wybierał materjał na jutrzejszą robotę. Wtem zaplaskały po podłodze bose stopy i pacholątko złotowłose stanęło przy swym opiekunie. Drobne rączyny ogarnęły szyję Józefa, a do ucha wpłynął mu szept przesłodki:

— Jezus bardzo prosi... pokazać mu gwiazdki...

W tejże chwili spracowane dłonie cieśli uniosły w górę maleńką postać, przytuliły ją do swych piersi ruchem najtkliwszej pieszczoty, gdy oczy z zachwytem tonęły w źrenicach Dziecięcia. Wyszli z mieszkania na ubogie, schludne obejście. Właśnie Marja zmierzała ku domowi, by wziąć stamtąd naczynie na mleko. Z wyżyn ramion Józefowych wyciągnęły się ku niej rączki Jezusa i otuliły głowę matczyną uściskiem bezmiernej miłości. Był to jeden z owych momentów, w których te trzy istoty, związane z sobą węzłem mistycznym Bożego na ziemi przeznaczenia, przeżywały wśród ludzkiej nędzy, złości i niedoli swoje szczęście niebiańskie.

Zmrok padał coraz szybszy, a na niebie lśnić zaczynały gwiazdy. Postąpił Józef kilka kroków dalej i stanął przy płocie u skraju dróżki, poza którą sączyła się nikła struga wody. Rosły nad nią samotne palmy, których liście muskał delikatnie słaby powiew wiatru.

Pustka była dokoła i cisza nocy pogodnej. Ponad głowami wysoko, w sklepienie nieba wtłaczały się coraz wyraziściej złote gwiazdy, mrugając blaskiem drżących promieni. Przegiął Jezus główkę w tył, i złożywszy ją na podścieloną dłoń piastuna, zapatrzył się w ten cud odwieczny, ręką Stwórcy zawieszony ponad ziemskim padołem. Zachwyciły się Jego dziecięce oczy i wyciągnęły się ku górze rączyny w niemym podziwie.

Nie poszedł jednak za niemi wzrok Józefa. Dzierżąc w swych własnych dłoniach żywy Cud Boży, zapatrzył się weń całą duszą i sercem, które prawie pomieścić nie mogło nadmiaru szczęścia.

...O, przenajsłodszy, przenajświętszy ciężar, jaki spocząć raczył w jego prostaczych ramionach. I czemże on, ubogi, nieznany wyrobnik, zasłużył na taką łaskę u Boga?! Dlaczego jego właśnie wybrał Pan z pośród całego ludu

swojego, by zastąpił ojca ziemskiego tej Dziecinie, co się ma stać kiedyś Zbawcą świata...

I nagle — jak płomień, znienacka silnym zgaszony podmuchem, zagasło szczęście Józefowe.

...To Dziecię najcudniejsze, któremu teraz ponad główką świętą wszystkie gwiazdy hymn, Jemu tylko słyszalny wygrywają na swych złocistych promieniach, to Dziecię... kiedyś...

Urwała się nagle myśl bolesna, bo Jezus drgnął w objęciach piastuna.

— Czemu płaczą twe oczka kochane? — spytał cichutko, ścierając paluszkiem łzę spływającą po obliczu Józefa.

Nie było odpowiedzi, tylko wzrok opiekuna skarżył się niemo żalem bezmiernym.

Chciał uśmiechem Jezus rozpędzić chmurkę smutku niedobrą, a kiedy się to nie udało, odezwał się głosikiem, od którego zawsze rozpływało się serce Józefowe.

— Poczekaj, gwiazdkę dla ciebie zdejmę z nieba, której ci nikt nigdy nie odbierze...

I rączkę wyciągnął w górę, a tuż ku niemu, jakby się całe nachyliło sklepienie niebieskie, i jedna z gwiazd niezliczonych utonęła w dłoni Dziecięcej. Zgasły odrazu jej blaski złociste wobec tego Słońca słońc, wobec tego Króla nad króle, ukrytego w ciele człowieczem na ziemi. A kiedy otwarł Jezus z powrotem dłoń swoją maleńką, wychylił się z niej kwiat lilji o śnieżnych kielichach.

— Weź... to twoje berło, którem władać będziesz kiedyś na ziemi... — rzekł z uśmiechem słodyczy, drugą rączką sięgając ku szyi Józefa.

I poszli tak ku domowi, na którego progu czekała już Marja, równie jak lilja przeczysta i biała. *E. O.*



Krucjata Eucharystyczna Szkoły im. Zb. Oleśnickiego w Krakowie odegrała 22. lutego b. r. sztukę sceniczną p. t. „Zyta", (przedstawiającą dzieje dziecka porwanego przez cyganów.)

ŚWIĘTY JÓZEFIE!

Na serduszek naszych strunie,
O, Dzieciątka Opiekunie,
Cześć dla Ciebie zawsze drga.
I jak Jezus ten maleńki,
Garniemy się do Twej ręki —
Niech nas wspiera pomoc Twa!

Nie wzgardź naszemi prośbami
I opiekuj się też nami,
Wiedź nas wpośród życia dróg.

Ucz nas tak, jak Boże Dziecię
Cichej pracy w Nazarecie,
Ucz nas żyć, jak każe Bóg.

Myśl ku niebu nam dziś frunie:
O, Józefie-Opiekunie,
Święty, święty, drogi nasz,
Z nieba patrz na polską dziatwę,
Drogi toruj nam niełatwe
I nad nami trzymaj straż! **P. W.**

Na stepach „Pantanalu".

Z przygód myśliwskich. (Dokończenie)

Zły i zmartwiony zaczął dokoła obchodzić polanę, chcąc wyszukać jakieś mniej zarosłe miejsce, którem prawdopodobnie dostał się do lasu ze stepu. Nic się odnaleźć nie dało. Obszedł drugi raz i trzeci — wszystko nadaremnie. Był więc już teraz pewny, że zbłądził. Położenie stawało się okropne, tem gorsze, że z powodu braku noża nie można było zapuścić się nigdzie dalej. Jak zwierz zamknięty w klatce, krążył ciągle dokoła polany, aż w głowie zaczęło się mącić nieszczęśliwemu, a nieznośne pragnienie paliło mu język i gardło. Spojrzał na zegarek i przekonał się, że kołowanie to trwa już przeszło trzy godziny. Zaczynało się zmierzchać.

W oddali po skalistych szczytach gór, po ich zboczach zarosłych gęstemi lasami, po głębokich dolinach, toczył się głuchy łoskot grzmotów, zwiastujących pierwsze ulewy nadchodzącej pory deszczowej. Naraz błyskawica rozdarła ciemniejące coraz bardziej niebo. Zerwał się wicher, którym poruszone gwałtownie wielkie, suche liście palm zaczęły głośno szumieć i trzaskać, waląc się na wyschłą, popękaną od spiekoty ziemię. Gdzieś daleko słychać było żałosny głos jastrzębi, które zawsze parami śpiewając, witają tak wschodzący i żegnają zamierający dzień.

— Rozpacz zaczęła mnie ogarniać — mówi młody podróżnik — sam w głuchej puszczy, bez noża, bez światła, bez wody, prawie bezbronny, w miejscach gdzie co noc żeruje krwiożerczy jaguar i gdzie spotkanie z grzechotnikiem (wąż straszny i jadowity) jest w każdej chwili możliwe... Noc ciemna wkrótce zapadnie, a z nią i nadciągająca burza... Jeszcze raz obszedłem polanę i wśród gąszczu — wiedziony może tylko instynktem — wybrałem miejsce, przez które zacząłem się przedzierać w jednym, ciągle prostym kierunku. Po kilkunastu minutach walki gołemi rękami z tamującą mi drogę roślinnością, wydostałem się do rzadszego lasu, wreszcie do pojedyńczych palm na jego skraju, których wachlarzowate liście ciemniały na tle czerwono-fioletowego burzliwego nieba. Przedemną rozciągał się nareszcie tonący już w mrokach wieczornych upragniony step.

Spojrzałem na prawo. W ostatnim blasku gasnącego dnia dostrzegłem jeszcze w oddali grupę znanych mi dobrze drzew, a między niemi wysoki dach mego szałasu. W tej chwili, jak najmilsza muzyka, doleciało do mego ucha szczekanie poczciwych psów. Owej nocy przysiągłem sobie nigdy już w życiu nie wybierać się na żadne, choćby najkrótsze polowanie, bez torby myśliwskiej, bez noża i nieodstępnej busoli.

Antoś Palica.

Obrazek z życia. Napisał Bronisław Mazowiecki.

(C. d.)

Dzisiaj uniósł sporego koguta, dopadłszy go znienacka pod samym progiem chaty; wyrwał go prawie z pod nóg obecnej przy tem gospodyni i zawlókł w pobliskie zarośla zagajnika.

Spłoszone kury podniosły wielki krzyk, który wraz z płaczem Tekluni wywołał z domu Antosia. Było jednak już zapóźno. Nikt nie byłby zdążył wydrzeć zdobyczy z pazurów znikającego jastrzębia.

Zrozpaczona gospodyni pobiegła tylko z resztą domowników szukać miejsca, gdzie w krzakach można było odnaleść skrwawione szczątki ofiary.

Tym razem był nią ulubieniec całego domu, wspaniały kur o złocistych piórach. Pokazywano go zwykle gościom jako osobliwość, opowiadając, że niewiadomo czem się karmi, nigdy bowiem nie można go było podpatrzyć jedzącego. Nad każdem ziarnem, jakie znalazł, przystawał i zwoływał głośno swoją gromadkę kokoszek, a kiedy go otoczyły, ustępował żarłocznym towarzyszkom, sam odchodząc szukać dalej.

To też Teklunia zapewniała, że odkąd chową drób, nie miała jeszcze nigdy kura o tak łagodnem usposobieniu. Żal jej więc był w tym wypadku większy, niż kiedyindziej, a gdy odnalazła wśród leszczyny, na mchu, stos potarganego pierza i rozpoznała śliczne złote pióra ulubionego koguta, wydawało się Antosiowi, że narzekała tak głośno, jakgdyby jej lis wydusił pół kurnika.

Zawziął się tedy młody myśliwy na tego zbója i przyobiecawszy siostrze, iż napewno tensam szkodnik nie wróci już nad gajówkę, wybrał się ze strzelbą na skraj lasu, gdzie spodziewał się z nim spotkać.

— Nie ujdziesz ty mi dzisiaj cało — mruczał chłopak po drodze, przypomniawszy sobie, że w ostatnich dniach kilka razy czatował długo i z niczem stamtąd odchodził.

W kwadrans później, zdjąwszy strzelbę z ramienia, przyszły gajowy wcisnął się między dwa kolczaste krzaki tarniny i czekał, kiedy nad sąsiednie pola owsa wzniesie się jastrząb ze swego leśnego ukrycia.

Dojrzałe srebrne kłosy szumiały głośno, co chwila bowiem zrywała się mocna wichura i trzęsąc lasem, przewalała się po zagonach.

Słońce piekło z pogodnego nieba. W polu czekały na ludzi pilne roboty, lecz nigdzie nie było nikogo widać, ponieważ dnia tego lud z całej okolicy wybrał się na pogrzeb proboszcza w jednej z wiosek sąsiednich.

Gdzieniegdzie widniały już ścierniska, przed tygodniem bowiem posprzątano z pól zżęte żyto. Kilka ogromnych wysokich stert, mocno zbudowanych i setek snopów chlebnego zboża, sterczało w pośrodku. C.d.n.